SŁOWAk

CZASOPISMO KULTURALNO-LITERACKIE

NR 22, LISTOPAD 2021

Drodzy Czytelnicy,

z ogromną radością udostępniamy Wam listopadowe wydanie czasopisma kulturalno-literackiego SŁOWAk! Cieszymy się, że możecie chodzić do szkoły i uczyć się w murach budynku. Jak zawsze życzymy Wam wielu sukcesów i serdecznie zachęcamy do dołączenia do naszej małej redakcyjnej społeczności, ponieważ nowe wydanie już w styczniu! Na koniec chcielibyśmy podzielić się z Wami inspirującymi słowami Umberta Eco: *Kto czyta książki, żyje podwójnie.*

A co mamy dla Was w tym listopadowym wydaniu?

W dziale **proza** możecie znaleźć już trzecią część opowiadania Marty Pokludy o tajemniczym tytule *Ostatni oddech Chicago*. Zachęcamy również do przeczytania dwóch tekstów absolwenta naszej szkoły - Piotra Breguły.

Jeżeli jesteście ciekawi, co Mateusz Suchy napisał na temat zespołu Pink Floyd i ich albumu *The Wall* to koniecznie zajrzyjcie do działu recenzja.

W dziale **varia** Miłosz Grzondziel przedstawia z różnych perspektyw Lipiny, dzielnicę Świętochłowic. Dla miłośników tekstów *Espantajo*, udostępniamy Wam kolejną część *Dzienników szkolnych*. W listopadzie w naszym liceum odbyły się również warsztaty pisarskie dla młodzieży, przeprowadzone przez pisarkę Martę Matyszczak. Gorąco zachęcamy do przeczytania tekstów z tego wydarzenia, które również znajdziecie w dziale varia. Tegoroczne **Śląskie Targi Książki** odbyły się w dniach 12-14 listopada. Wydarzenie to znalazło się już na liście liczących się imprez targowych i plenerów czytelniczych w Polsce, dlatego też zachęcamy do przeczytania krótkiej relacji z tego wydarzenia.

Na sam koniec (dla miłośników zdjęć i nie tylko) w dziale **fotografia** udostępniamy najnowsze prace Filipa Hornika.

Redakcja

Zespół redakcyjny:
Redaktor naczelna: Marta Banaś
Zastępca redaktora: Marta Pokluda
Opiekun redakcji: Damian Straszak
Dziennikarze: Karolina Grzesik

Projekt okładki: Hanna Konieczny

Spis treści

Proza

5
Ostatni oddech Chicago, część III
Marta Pokluda

8
Popcorn
Piotr Breguła

10
Jednorożec
Piotr Breguła

Recenzja

12
The Wall: historia upadającego muru
Mateusz Suchy

Varia

16
Lipiny – Terra Incognita
Miłosz Grzondziel

20
Dzienniki szkolne
Espantajo

21
Warsztaty pisarskie w Słowaku
Pola Strzałkowska
Anna Gwizdak

24
Śląskie Targi Książki - relacja
Espantajo

Fotografia

26
Filip Hornik

slowa-k.slowacki.edu.pl
slowa-k@slowacki.edu.pl
fb: @SlowakCzasopismo
ig: slowa_k

Uniwersyteckie I Liceum Ogólnokształcące im. Juliusza Słowackiego
ul.Dąbrowskiego 36, Chorzów

PROZA

Ostatni oddech Chicago, część III

Marta Pokluda

, 26 listopada, dzień 988

Kuchenny zegar wybił godzinę 6:00 rano. Gęsta mgła rozlewała się między nieoświetlonymi jeszcze przez promienie jesiennego słońca budynkami i wkradała się przez otwarte okna do zniszczonych pomieszczeń. W oddali widać było klucz czarnych ptaków przemykających między wieżowcami. Kierując się w stronę opuszczonego szpitala, który od kilkunastu dni był miejscem jej badań, Jolene spojrzała w stronę unowocześnionego kościoła. Jego dwie, brązowe, strzeliste wieże pięły się ku niebu, jakby starały się go dosięgnąć i sprowadzić wszystkich zmarłych na ziemię. W jego kolorowych witrażach, Jolene ujrzała byłego męża. Aaron Reagan ukazał się jej w swoim granatowym, ślubnym garniturze; patrzył na nią tym samym wzrokiem, jakim obdarzał ją 6 lat temu - podczas ich ceremonii ślubnej i 2 lata temu - podczas pogrzebu ich syna, gdy dodawał swojej już byłej żonie otuchy. Po chwili wyobrażenie Aarona zniknęło sprzed oczu Jolene, a z nim spojrzenie dające nadzieję na lepsze dni. Jolene otrząsnęła się.
“Jest dokładnie tak jak wtedy…” - pomyślała jednocześnie przechodząc na drugą stronę ulicy. - “Ta mgła, te ptaki…” - dodała z przerażeniem.

Po chwili przekroczyła skrzypiące drzwi szpitala i udała się do sali operacyjnej, gdzie wczoraj zostawiła wszystkie dokumenty i prawie gotową szczepionkę. Położyła torbę na ziemi i wzięła w swoje ręce przezroczystą fiolkę. Skierowała ją ku świecącej nad nią lampie i potrząsnęła nią.
- Moja szczepionka. - wyszeptała przelewając zawartość fiolki do strzykawki.
Przyłożyła igłę do ręki i przycisnęła ją. Chciała poczuć ukłucie igły, chciała poczuć ciecz wlewającą się do jej ciała. Zamknęła oczy, chcąc przypomnieć sobie ostatnie dni jakie spędziła z synem, ostatni dzień kiedy widziała Aarona, ostatni dzień kiedy świat był normalny. Po chwili wyjęła igłę ze swojego ramienia i wyrzuciła strzykawkę do kosza, a ranę zakleiła plastrem.
W lustrze, które wisiało na ścianie obok niej spostrzegła siebie - swoje nieułożone włosy wystające zza wyblakłego lekarskiego stroju ochronnego i zużyte buty. Wiedziała, że czynność, którą przed chwilą wykonała może mieć przełomowe znaczenie dla żywych jeszcze ludzi, ale nie potrafiła tego poczuć. Patrzyła tylko na swoje lustrzane odbicie skupiając się nad tym ile poświęciła dla ratowania… obcych ludzi. Bolał ją fakt, że nie mogła uratować najbliższych.
Wyjęła z plecaka dyktafon i kładąc go na stole przycisnęła czerwony guzik włączający nagrywanie.

"Jest 26 listopada 2049 roku. Znajduję się w budynku St Joseph Hospital. Nazywam się Jolene Mitchell, jestem Przewodniczącą Komisji ds. Szczepień i Leków WHO.

Zostałam powołana na to stanowisko w 2042 roku - 4 lata przed godziną zero. Udało mi się opatentować szczepionkę przeciwko Marburgowi 2. Straciłam syna, rodziców i dziadków. Mój współpracownik nie żyje od 9 dni, nie mam kontaktu z moim byłym mężem. Patrząc na to, że miasta są otoczone murami, a komunikacja radiowa nie funkcjonuje poprawnie, nie wiem nawet czy żyje. W Chicago zostało już niewielu mieszkańców o zdrowych zmysłach. Większość nie żyje, część popadła w depresję, część od czasu do czasu próbuje szaleńczo wydostać się z miasta. Bezmyślnie wjeżdżają w mur lub zostają rozstrzelani przez bezlitosne wojsko. Poświęcam wszystko dla tej szczepionki. Żyję tylko dzięki lekowi, który WHO wyprodukowało w tajemnicy przed ludźmi rok temu. Nie wiem ile zostało mi czasu. Jutro wsiadam w samochód i jadę dostarczyć szczepionki do Waszyngtonu. Nie wiem nawet czy ktoś ma pojęcie o tym, że jest osoba, która pracuje nad produktem będącym ratunkiem dla ludzkości. Robię to dla syna; gdy kiedyś się z nim spotkam - opowiem mu, że udało mi się uratować wszystkich potrzebujących. Gdyby tu był, robiłby to ze mną - z dumą. (wdech, wydech) Będę musiała przedostać się przez bramę. "

Ponownie nacisnęła czerwony guzik i schowała dyktafon do plecaka. Wyszła ze szpitala i skierowała się szybkim krokiem w stronę mieszkania w celu spakowania najpotrzebniejszych rzeczy na jutrzejszą podróż.
Słońce nie chciało wychylić się zza porannej mgły. Pozostawało uwięzione gdzieś między nią a burzowymi chmurami zbierającymi się nad miastem. Zza rogu rozległ się głos skamlającego psa, gdzieś w oddali, donośnym głosem swą obecność zaznaczyły kruki. Kobieta przyspieszyła kroku i udała się w stronę mieszkania.

***

piątek, 27 listopada, dzień 989

- Gdzie jest Diatlov? Macie jakieś nowe informacje?
- Wyszedł Zachodnim Skrzydłem Centrali trzy tygodnie temu. Straciliśmy łączność po 8 dniach. Nie mamy żadnych dobrych wieści. Proszę Pana, on nie może być niewinny.
- To wszystko przestaje mi się podobać. Znajdźcie go jak najszybciej. - odparł Aaron Reagan nerwowo stukając długopisem o szklane biurko. - Dziękuję, możesz odejść.
Asystent spuścił głowę i pospiesznie wyszedł, zamykając za sobą drzwi.
Aaron odniósł się z krzesła i podszedł do okna wkładając ręce do głębokiej kieszeni spodni. Nie mógł przestać myśleć o zniknięciu Diatlova. Mężczyzna zagrażał bezpieczeństwu WHO, szczególnie ze względu na to, że od jakiegoś czasu miał dostęp do prawie wszystkich dokumentów medycznych.
- Wiedziałem, że nie można mu ufać. - powiedział w myślach Aaron energicznie odsuwając się od okien.

***

Jolene spakowała plecak i upewniła się, że do jednej z jego kieszeni włożyła dyktafon, dokumentację medyczną i pustą fiolkę po leku. Miała jeszcze chwilę czasu do planowanej godziny odjazdu. Kładąc plecak na podłodze spostrzegła pod stołem roztrzaskany telefon i delikatnie go podniosła.
“Musiał należeć do Matta. Może znajdę w nim dodatkowe informacje o szczepionce i tym dziwnym leku” - pomyślała jednocześnie włączając urządzenie.

***

Aaron udał się w stronę brązowej, błyszczącej kanapy, lecz zanim zdążył na niej usiąść, drzwi do jego gabinetu otworzyły sie energicznie. Widocznie zaaferowany asystent stanął przed Aaronem i zaczął gestykulować.
- Tylko spokojnie Jason. Przejdź do rzeczy. I nie wymachuj tak tymi rękami. Zwariuję kiedyś przez ciebie. - wrzasnął Reagan mierząc asystenta groźnym wzrokiem
- Wiemy gdzie jest.
- Kto?
- Diatlov. Namierzyliśmy jego telefon.
- Jeszcze przed chwilą mówiliście, że nie potraficie tego zrobić. Wyjaśni mi ktoś co się tutaj dzieje? Jesteście zupełnie niekompetentni. - odparł Reagan wbijając swój wzrok w rozmówcę.
- Ktoś musiał majstrować przy telefonie. Nie wiemy kto to jest, ale musi to być jakiś jego wspólnik. Panie Dyrektorze Generalny - odchrząknął Jason - z laboratorium zniknęła fiolka z lekiem AR-737. - dodał po chwili przerwy z wyraźnym niepokojem w głosie. - Tylko Diatlov i kilkoro członków personelu miał do niego dostęp w ostatnim czasie.
Aaron podszedł do komputera leżącego na biurku i wpisał usłyszany numer do bazy danych Centrali WHO. Gdy otworzył odpowiedni plik, zastygł w bezruchu..
- Mój Boże... - wyszeptał patrząc ze zdumieniem na dokument, który wyświetlił. Czuł jak blednie, powoli tracił panowanie nad swoimi kończynami, zaczęło mu się kręcić w głowie.
- Panie Dyrektorze...
- Nie. Zajmijcie się nim natychmiast - nikt nie może wiedzieć o istnieniu leku. Gdzie jest Diatlov? Pytam - GDZIE?!
- 875 North Michigan Avenue.
- John Hancock Center...
- Zgadza się, przed chwilą złapaliśmy sygnał, tak w zasadzie to...
- JOLENE!
Aaron zerwał się z miejsca. Natychmiast wyjął z teczki pendrive’a i skopiował dane z laptopa. W biegu chwycił swoją kurtkę wiszącą na wieszaku przy drzwiach, nałożył czapkę i zamaszystym ruchem otworzył drzwi swojego gabinetu. Po chwili, odjechał swoim Mercedesem spod siedziby WHO z piskiem opon, kierując się w stronę lotniska wojskowego.

Popcorn

Piotr Breguła

Gdzieś daleko, na galaktycznych rubieżach, na zapomnianym przez bogów świecie, na białej, gąbczastej glebie w ciemności zimnej i pustej zasiadł stary tułacz nad tułacze i począł szeptać pieśń.

– Podejdźcie, przybysze. Nieważne, skąd przychodzicie, ani dokąd zmierzacie, posłuchajcie starego dziada, co życie zmarnotrawił na widmo straconej epoki. Posłuchajcie mojej opowieści. Rzecz to dziwna i tragiczna ale i nie pozbawiona sensu. Posłuchajcie smutnej pieśni o dwóch bogach, chłopcu i prażonym ziarnie kukurydzy.

Były niegdyś dwa światy, a nazwano je Anduran oraz Galan. Anduran był domeną boga Ahry Mazy, co zrodzony był z nadziei i wiary, którymi duch czasu tchnął weń życie. Ze zwątpienia i rozpaczy narodził się natomiast wróg Ahry Mazy, Ager Mjunu. Wszystko, co stworzył Ahra, przez jego brata obracane było wniwecz. I tak trwało przez wieki owo chwiejne współistnienie dychotomicznych bytów. Lecz wtedy stała się rzecz przełomowa, po której stan dotąd nienaruszony załamał się bezpowrotnie. Ahra Maza w swej mądrości powołał do życia lud, aby służył mu i wspomógł w walce z adwersarzem. Istoty te stworzył z materii swojej myśli. Podobnie, jak on były one więc wypełnione wiarą i nadzieją. Idąc śladem swego brata Ager Mjunu również powołał do życia sprzymie-rzeńców, którzy natomiast przepełnieni byli przymiotami przypisywanymi Agrowi. Ostateczna bitwa, w trakcie której wojska Ahry zachowały wierność swemu ojcu, a siły Agra zdradziły swego pana, położyła kres zniszczeniu i pożodze. Na dowód wdzięczności za wierność i oddanie Ahra Maza zaklął swoją moc w glinianej czarze, mówiąc: „Oto dar dziękczynny ode mnie. Niech w momencie największej potrzeby wybrany przez was poseł wypowie wolę ludu, następnie niech po dwakroć potwierdzi on, dla zabezpieczenia, swe słowa, a wasze życzenie dzięki mojej mocy zyska realną formę". Po wypowiedzeniu tych słów, wielki Ahra Maza odszedł na spoczynek, był bowiem wielce znużony zbyt długimi zmaganiami.

Mijały wieki, milenia i eony, a zrodzony z myśli Ahry Mazy lud żył w pokoju i szczęściu. Ziemia była żyzna, niebo łaskawe, woda była czysta, a w ogniu zawarta była wieczna idea życia. Wtedy właśnie, gdy zbytek i beztroska sięgnęły zenitu, gdy bezwiednie dopełniała się złota jesień starej ery, nadszedł ten, który wszystko to miał obrócić w perzynę. A był to chłopiec, który przeżył zaledwie cztery wiosny. W noc, gdy zmożeni bezczynnością wartownicy udali się na drzemkę, zakradł się do świątyni, gdzie trzymano świętą czarę.

– Chcę swojego życzenia. - powiedział.
– Smuci mnie, że do mnie przybywasz. - powiedziała czara. - Znaczy to bowiem,

że pomimo zaprowadzonego pokoju, mój lud znów znalazł się w potrzebie. Jaka jest wasza wola?
– Chcę zamienić caaały świat w jeden wielki popcorn! - zawołał malec - Uwielbiam popcorn!
– Czy jesteś pewien swojego wyboru? - zapytała czara.
– Oczywiście, że tak. - z ogromną pewnością wypowiedział życzenie chłopiec.
– Czy taka jest wola mojego ludu?
Chłopiec zawahał się przez chwilę, po czym odpowiedział:
– Chyba tak.

Lecz biedny chłopiec nie wiedział, co czyni. Żyzna gleba, drzewa, rzeki, góry, morza i wszelkie inne cuda natury przemieniły się wnet w gąbczastą masę, a ludność, która pomarła z pragnienia i innych znojów, liczona była w miliardach.

– Jak mogłeś mój synu, zrobić coś tak okropnego? Czy ty rozumiesz, że nigdy nie pozbędziesz się już tego ciężaru? Czy ty rozumiesz, że będziesz musiał z tym żyć? - tak przemawiał do sprawcy zajścia ojciec chłopca.

Chłopiec nie rozumiał, lecz wkrótce, kiedy wraz z wiekiem przyszedł do niego rozum, przekonał się o wadze słów swego rodziciela. Plemię Ahry Mazy stało się ludem tułaczów, błąkających się po kosmicznych rozdrożach, ojciec i matka chłopca zginęli starzy i zblazowani, chłopiec natomiast żył ze swą winą, aż kiedy osiągnął wiek lat 31, jego strudzona szyja spoczęła na pcv-owej materii skakanki w międzygalaktycznej sieciowej siłowni, gdzie twardą dyscypliną usiłował uciszyć głosy w swojej głowie.

I tak oto gdzieś daleko, na galaktycznych rubieżach, na zapomnianym przez bogów świecie, na białej, gąbczastej glebie, w ciemności zimnej i pustej powstał stary tułacz nad tułacze, po czym przemówił:

- Dziękuję, dobrzy ludzie, że raczyliście wysłuchać samotnego pustelnika. Nie wińcie się, jeśli wyczyn chłopca wywołał na waszych twarzach uśmiech. Synowie i córki Anduranu również nie dowierzali w monumentalnej skali absurd, który dział się na ich oczach. Niech pozostanie w waszej pamięci opowieść mojego życia i ponure przesłanie smutnej pieśni o dwóch bogach, chłopcu i prażonym ziarnie kukurydzy.

Jednorożec

Piotr Breguła

poniedziałek 15.07.2661

Redakcja Tygodnika Rozmaitości pragnie poinformować o niezwykłym i bezprecedensowym wydarzeniu. Orbitujemy wokół Jednorożca – najbliższej czarnej dziury oddalonej od Ziemi o 1500 lat świetlnych. Towarzyszy nam Szilveszter Török, węgierski matematyk, człowiek, który postanowił rzucić wyzwanie największej z tajemnic. Zapytany o swoje motywacje, odpowiedział, że od zawsze pociągała go dziwność i ostateczna natura horyzontu zdarzeń. Pogoda ducha, widoczna na twarzy naukowca, jak i ochota na abstrakcyjne żarty zdają się przeczyć temu, co nadejdzie za parę godzin.

O godzinie 15:30 czasu środkowoeuropejskiego kapsuła została wystrzelona w kierunku horyzontu zdarzeń. Zgodnie z życzeniem Töröka, podajemy do publicznej informacji jego ostatnie słowa: "Widzę, jak przestrzeń zakrzywia się i upada pod naporem niepojętej siły. Oto miejsce, gdzie umiera wszelka pamięć i nadzieja. Ze spokojem i pewnością zmierzam ku ostatecznej granicy poznania. Powiedzcie Erzsébet, że wziąłem ze sobą naszego słonika."

W tym momencie kontakt z Törökiem został zerwany. Instytut Badań nad Czarnymi Dziurami w Szolnoku dziękuje za wszelką okazaną pomoc.

Piotr Kępa dla Tygodnika Rozmaitości

RECENZJA

The Wall: historia upadającego muru

Mateusz Suchy

Wielcy artyści nigdy nie lubili kompromisów. Każdy ma w swojej głowie pewną wizję, którą chce realizować za wszelką cenę. W muzyce jest to również bardzo częste, a w karierach zespołów jest to prawie codzienność. Roger Waters nie lubił kompromisów. Nie lubił - to mało powiedziane. Nie znosił ich, uważał się za frontmana Pink Floyd i zawsze uważał, że to on jest wiodącą siłą zespołu. Po trasie *"In The Flesh"* promującej album grupy *Animals*, członkowie Pink Floyd zgodnie stwierdzili, że nie chcą się na razie widzieć na oczy (oprócz David'a Gilmour'a i Richarda Wright'a, którzy od zawsze kochali się miłością platoniczną). David Gilmour i Nick Mason zajęli się tworzeniem solowych projektów, Richard Wright pomagał Davidowi, natomiast Roger Waters zajął się tworzeniem nowego materiału dla swojej grupy. Musimy zdać sobie z jednego sprawę - mianowicie zespół pomiędzy rokiem 1978 i wydaniem płyty był praktycznie bankrutem. Wszystko przez złe kontrakty, złych doradców i złe inwestycje. Wszystko było zrobione beznadziejnie. Nick Mason, chcąc uzyskać pożyczkę od banku na wybudowanie domu, zapytany o asekurację finansową na spłatę pożyczki odpowiedział: "Może nie mam 4 milionów dolarów, za to mam 50 milionów sprzedanych płyt". Niespodzianka, kredyt otrzymał. W każdym razie, muzycy wiedzieli wewnętrznie, że ich solowe projekty nie odniosą (przynajmniej na razie) takiego sukcesu jak płyty Pink Floyd. Około końca roku 1978 Roger Waters skontaktował się z muzykami z prostym komunikatem - mam materiał, mam napisaną muzykę, mam koncepcję, macie zagrać. Siłą rzeczy wszyscy się zgodzili, lecz nie były to czasy *"Ciemnej strony księżyca"* czy *"Wish You Were Here"*. Muzycy swoje linie nagrywali osobno, nie spotykali się, a uwagi wymieniali telefonicznie lub drogą listową. Prace trwały do listopada roku 1979, a w rezultacie powstał tak naprawdę pierwszy solowy album Rogera Waters'a. Czemu? Już tłumaczę. Koncept całego albumu opiera się tak naprawdę na życiu, dzieciństwie, traumach, poglądach autora tekstów. Mimo wszystko możemy powiedzieć, że mówimy o dziele sztuki w każdym tego słowa znaczeniu -

niesamowita głębia brzmienia, pomoc orkiestry w jednym z najbardziej znanych utworów *"Comfortably Numb*". Można powiedzieć, że mimo niechęci muzyków do siebie, każdy z nich dał z siebie dosłownie wszystko i widzimy ich w świetnej formie. Teksty Watersa w każdym następnym utworze dotykają innego tematu, innego okresu jego życia. W piosence *"The Thin Ice"* możemy odczuć jego ogromną tęsknotę, a zarazem ból po stracie ojca w czasie II wojny światowej. W piosence *"Mother*" dowiadujemy się jak tak naprawdę Waters bał się dorastania i jakim przewodnikiem po jego życiu była jego matka. Oczywiście kolejnym klasykiem jest seria trzech utworów *"Another Brick in the Wall"*, z czego część druga jest buntem przeciwko systemowi edukacji, przemocy psychicznej stosowanej w tamtym czasie w wielu szkołach na całym świecie i "hodowaniu" ludzi myślących tak samo, w jednym szablonie. Album podzielony na dwie części jest tutaj również bardzo ważnym zabiegiem, bo tak właściwie ta pierwsza część opowiada o życiu Watersa, a ta druga dotyka już jego przemyśleń na temat społeczeństwa i świata otaczającego go w tamtym czasie (jednak duża część tekstów wciąż opisuje dzisiejsze społeczeństwo). Jeden z moich ulubionych utworów z tego dzieła - *"Hey You"* pokazuje egoizm i indywidualizm ludzi w społeczeństwie - mur, który był wszędzie i był zbyt wysoki, żeby się zjednoczyć. Jeden z najbardziej niedocenianych, według mnie, utworów pod tytułem *"Young lust"* opowiada o młodzieńczym buncie, o poszukiwaniu niegrzecznej kobiety i zabawy. Kończący pierwszą część utwór *"Goodbye Cruel World"* możemy interpretować na różne sposoby. Niektórzy uznają go za symbol załamania psychicznego Watersa w młodym wieku i list samobójczy. Ja bardziej interpretuję go jako śmierć tego młodzieńca, który tęsknił za ojcem i był niezmiernie wrażliwy na ból swój jak i innych ludzi. Po wymarciu tych uczuć staje się zimny, znieczulony na realia tego obrzydliwego świata, którego tak nienawidzi i godzi się ze swoją egzystencją w nim. Idealnie współgra to z następnym utworem, już po drugiej stronie albumu - *"Hey You"*. Ważne tutaj jednak nie są tylko słowa, ale rozłożenie tekstu. W pierwszej części śpiewa David Gilmour, pyta osoby siedzącej samej, w zimnie, nagiej, wypranej z uczuć, czy czuje jego obecność, ciepło jego istnienia. W części, którą śpiewa Waters dowiadujemy się, że mimo iż jest nagi, bez krzty emocji widocznej w fizyczny sposób, głęboko w środku dalej te emocje w nim są, chcą się wyrwać i ujrzeć światło dzienne. Jednak system, w którym się wychował stworzył kolejny mur, który był za wysoki, aby przedostać się na drugą stronę. Mur jest tutaj używany jako wielka metafora, podziału, systemu (cegiełki w utworach *"Another Brick in the Wall"*), zamknięcia emocji w sobie. Na końcu jednak ten mur pada, rozbija się na drobne kawałki, a Waters budzi się po drugiej stronie muru, gdzie czeka nowe życie. Niesamowita opowieść ubrana w cudowne muzyczne szaty dobiega końca.

Koncert czy przedstawienie?

Trasa promująca *"The Wall"* przybrała bardzo ciekawy charakter. Po raz kolejny

wizja Watersa nie podobała się innym muzykom. On nie chciał grać zwykłych koncertów. Chciał wystawić sztukę, chciał pokazać, że jest artystą z krwi, kości i kosmicznego pyłu. W efekcie na koncertach promujących album *"The Wall"* nie grano żadnych piosenek innych niż te, które pojawiały się na najnowszym krążku Floydów. Całość była starannie dopracowana, a muzycy już nie byli muzykami - stali się aktorami, którzy odgrywali precyzyjne role. Mimo wszystko, całość musiała robić kolosalne wrażenie. Jednym z ważniejszych elementów show był wielki mur, który na końcu był burzony przez Watersa. Zespół był również wyposażony w wielki ekran, który towarzyszył im już od czasów trasy *"Dark Side of the Moon"*, a także lasery, maszyny produkujące dym i wiele innych akcesoriów scenicznych, które nadawały całemu show niezwykłej atmosfery. Mimo wszystko, David Gilmour i Richard Wright szybko zmęczyli się tą formą grania muzyki. Nudziło ich granie ciągle tego samego, chcieli grać również stare utwory, a nie tylko wciąż powtarzać to samo. Można powiedzieć, że Waters paradoksalnie sam stworzył swój system, a przecież poświęcił kilka utworów na płycie na sprzeciw systemom.

Co było za murem?

"The Wall" okazał się być przedostatnim albumem w najbardziej znanym formacie grupy (Waters, Gilmour, Wright, Mason). Ostatnim był *"The Final Cut"*, po którego wydaniu z grupy odszedł Roger Waters. Mimo wszystko *"The Wall"* zapowiadało powolny upadek grupy, rozpad niegdyś przyjacielskich relacji między członkami zespołu, a także wizji artystycznej i odwiecznej walki Gilmour vs. Waters. Można powiedzieć, że była to pierwsza cegiełka wyciągnięta z muru, a po tej cegiełce cały mur runął.

VARIA

Lipiny – Terra Incognita

Miłosz Grzondziel

Lipiny – Terra Incognita?

Lipiny zawsze wywołują emocje. Dzielnica ta nie cieszy się chlubną renomą, należy do tych mniej bezpiecznych w okolicy. Wielu stawia ją w jednym szeregu z Karbiem czy Bobrkiem – wkładając do szufladki „omijać szerokim łukiem". Wszak wystarczy podejść na ulicę Augustyna Świdra (swoją drogą urodzonego w Lipinach poety), by ujrzeć obraz nędzy i rozpaczy: kamienice w stanie agonalnym, ruiny bez okien i dachów, puste place po wyburzonych familokach. Zdaje się, że jedynie ankry przytrzymują ten marny widok – w swoim żelaznym uścisku podtrzymując ściany (jeszcze) nieopuszczonych kamienic. Obraz smutny, choć prawdziwy, szkody górnicze spowodowane działalnością dwóch pobliskich kopalń – „Matylda" i „Śląsk" skutecznie odcisnęły piętno na Lipinach. Lecz czy na pewno Lipiny to umarła dzielnica, gdzie jedyną dobrą rzeczą, jaka może cię spotkać jest tramwaj na Piaśniki? Niekoniecznie. Ba! Na pewno nie. Lipiny, pod grubą warstwą brudu i kurzu, kryją piękną architekturę, śląską tradycję, a także subtelny urok tajemnicy (a może grozy?).

Lipiny Południowe

Południowa część Lipin jakoś nie wpisuje się w powszechne przekonanie na temat tej dzielnicy. Ze „Świdra" wystarczy przejść jedną ulicę – Bukowego, by znaleźć się w innej rzeczywistości. Oto wchodzimy na Drogę Następcy Tronu – aleję wytyczoną już w XIX wieku. Współcześnie droga ta nosi nazwę ul. Chorzowskiej, stoi przy niej wiele pięknych (choć zabrudzonych) kamienic, urokliwe familoki, centrum kultury (w budynku z lat 90. XIX wieku) oraz „perła w koronie" – dawny ratusz gminy Lipiny. Gmach ten wzniesiono w 1908 roku w stylu neogotyckim – wyróżnia się przez wieżę z wielkim hełmem. Budynek został odrestaurowany w XXI wieku, w jego wnętrzu mieści się poradnia psychologiczno-pedagogiczna oraz Centrum Integracji Społecznej. Zaraz za ratuszem ulokowany jest ciekawy budynek domu sportu. Może na pierwszy rzut oka wyda się on „ulepszonym familokiem" - wrażenie to znika, gdy wejdziemy na tyły. Nad budynkiem góruje drewniana wieżyczka, niżej zaś są wielkie bramy jakby do ogromnego garażu. Dom sportu początkowo pełnił funkcję straży pożarnej – dopiero z czasem jego wielkie pomieszczenia zmieniono na salę gimnastyczną. Ciekawa rzecz.

Za domem sportu rozpoczyna się całkiem ciekawe, ukończone w latach 90. XX wieku, osiedle ceglanych bloków. Pięciopiętrowe „nowe familoki" dobrze współgrają ze starą zabudową dzielnicy,

tworząc osobliwą synergię. Jeżeli ktoś byłby ciekawy, gdzie mieści się w Świętochłowicach dom spokojnej starości, to właśnie na… Lipinach. Ulokowano go w jednym ze wspomnianych bloków, czyli… nie takie Lipiny straszne, jak je malują? Odsuńmy odpowiedź na to pytanie na czas nieokreślony, tymczasem zbliżamy się do pozostałości po kopalni „Matylda". Kolejna niespodzianka, nie ujrzymy tu ruin i walących się zabudowań, a zrewitalizowane budynki służące obecnie za biura. Oczywiście nie jest to łódzka Manufaktura czy zabrzański szyb Maciej, lecz z drugiej strony cieszy fakt, że te budynki nie zniknęły z powierzchni ziemi jak wiele poindustrialnych obiektów na Górnym Śląsku.

I teraz najciekawsze – osiedle Matylda. Zespół kilkudziesięciu zachowanych w niezmienionym stanie familoków powstałych do 1922 roku, o wyjątkowej na skalę całego Śląska urodzie. Raz znajdziemy drewniane, rzeźbione ganki, raz ceglane woluty w kształcie muszli. Wykusze, płaskorzeźby, portale – a to wszystko „zatopione" w czerwonej (choć już nieco brudnawej) cegle. Duże wrażenie osiedle robi z góry, kiedy obserwujemy jego zachowany układ urbanistyczny. Całość można porównać do Nikiszowca, niemniej lepiej być w tym przypadku ostrożnym. Już po pierwszym spacerze zobaczymy, że „Matylda" jest dosyć zaniedbana – tu i tam są ubytki w tynku czy cegle, wiele zabitych dyktą okien czy nieciekawie wyglądające klatki schodowe. Osiedle, między wierszami, krzyczy o katastrofach, jakie nawiedziły

Lipiny w przeciągu kilkudziesięciu ostatnich lat.

Prosto do katastrofy

Dlaczego Lipiny (a szczególnie ich północna część, o której później) wyglądają tak, a nie inaczej? Głównie przez ludzką głupotę, ale i nieprzemyślane decyzje władz. Fatalny skutek przyniosło wydobycie węgla kamiennego bezpośrednio pod Lipinami. Stało się to samo, co w przypadku Bytomia czy Wirku, budynki poddano ogromnej próbie – musiały wytrzymać potężne tąpnięcia. Jedynym ratunkiem okazały się być ankry, czyli metalowe szyny utrzymujące dany budynek w pionie. Po zaprzestaniu wydobycia węgla pod Lipinami, nikt specjalnie nie przejmował się stanem budynków. Wiele z kamienic północnej części dzielnicy do dziś ma toalety na korytarzach, a ostatnie remonty były tam prowadzone kilkadziesiąt lat temu. Wraz z zamknięciem kopalni (a później także huty „Silesia") przyszło potężne bezrobocie. Bezrobocie zaś rodzi wiele

problemów, na czele z biedą. Sytuację pogorszyła polityka władz miejskich, które już w PRL-u stworzyły w Lipinach swoistą enklawę dla podejrzanych jednostek lub ludzi niepłacących czynszu. Ten proceder trwał bardzo długo, co zaowocowało rozwojem patologii oraz sprowadziło na Lipiny miano najniebezpieczniejszej z dzielnic Świętochłowic. Najtrafniejszym przykładem zmiany, jaka zaszła na Lipinach przez ostatnie kilkadziesiąt lat jest Plac Słowiański – kiedyś Rynek Lipin, dziś opustoszały plac z pomnikiem powstańca śląskiego. Niegdyś odbywały się tu wielkie festyny, kwitł handel – później zburzono całą północną pierzeję placu i zadrzewiono go tworząc rodzaj małego parku. Dawne pawilony handlowe świecą pustkami, zaś plac pełni obecnie rolę małego centrum przesiadkowego między tramwajami z ulicy Barlickiego i Chorzowskiej. W 2011 roku zrealizowano film „Kiedyś będziemy szczęśliwi", którego akcja dzieje się w Lipinach – pada tam zdanie, które doskonale odzwierciedla nastroje panujące w północnej części Lipin – „Tu nie ma przyszłości – tu są Lipiny".

„Tu nie ma przyszłości, tu są Lipiny"?

Ulica Barlickiego sprawia ponure wrażenie – okna sklepów pozabijane są dyktą, działa tu raptem jedna kawiarnia, budynki są albo opuszczone, albo brudne i zniszczone. Choć znajdziemy kilka perełek jak np. kamienice przy Barlickiego 15, 13, 20 czy 37, to i tak otacza je aura szarości i smutku. Ulicę Barlickiego wyremontowano w pierwszej dekadzie XXI wieku, stworzono schludne

chodniki, wymieniono tory tramwajowe oraz wyznaczono krótki odcinek zamknięty dla ruchu samochodów. Niestety, coś nie zadziałało, i ulica Barlickiego sprzed kilkunastu lat – ze sklepami, kolorowymi witrynami i życiem jest już raczej przeszłością. Sytuację pogarsza kilka opuszczonych budynków, które czekają już chyba tylko na zrównanie z ziemią. W jeszcze gorszym stanie są zapuszczone podwórka i klatki schodowe. Z kolei kwartał wyznaczony przez ul. Świdra, Rudzką, Okrzei i Bukowego to najbardziej zaniedbane miejsce w Świętochłowicach, budynki są wprawdzie zamieszkane, lecz ich stan i estetyka - delikatnie mówiąc - urąga czasom XXI wieku. Nie jest to przesada – w zeszłym roku zawaliły się tutaj dwie kamienice. Wpływ na to ma na pewno wiek zabudowy – wszystkie domy mają około 100 lat, zaś bloki doby PRL-u powstawały w południowej części dzielnicy. Może, gdyby substancja mieszkaniowa była nowsza i bardziej komfortowa, coś by się zmieniło?

Ostoją dawnej chwały Lipin jest przepiękny kościół św. Augustyna – najstarsza

świątynia w Świętochłowicach. Neogotycki gmach urzeka tajemniczym klimatem, niespotykaną melodią dzwonów czy niezwykłymi witrażami. Dla witraży warto do tego kościoła przyjechać nawet z daleka - robią niesamowite wrażenie. Na placu przed kościołem zachowała się rzeźba grupy ukrzyżowania z poniemieckim napisem „Es ist vollbracht". Jak już wspomniałem, Lipiny są piękne – tylko, że to piękno przykryte jest grubą warstwą brudu i zaniedbania...

Rewitalizacja – „Nowa nadzieja"

Gdybym pisał te słowa w zeszłym roku fraza „Tu nie ma przyszłości" byłaby prawdziwa. Wielu skazało północne Lipiny na powolną śmierć, kamienica za kamienicą, bo przecież nic się już nie może zmienić. Zmiana jednak nadeszła i to z... Warszawy. W 2020 inwestorzy ze stolicy kupili opuszczoną i zrujnowaną kamienicę na rogu Balickiego i Granicznej. Był to budynek „witający" wszystkich odwiedzających Lipiny od strony Chropaczowa. Wizytówka niezbyt ciekawa – budynek bez okien, z krzakami na dachu i zamurowanymi oknami parteru. Wydawało się, że jeszcze parę lat postoi, po czym zostanie zburzony lub sam się zawali. Tak się nie stało. Inwestorzy dokonali kapitalnego, dziewiczego na Lipinach, remontu kamienicy, od dachu po piwnice. W środku stworzono kilkadziesiąt nowych mieszkań, elewacja uzyskała jasny, estetyczny kolor, wyczyszczono ceglany, ozdobny gzyms. Około wiosny 2021 roku odsłonięto pierwszą od wielu lat wyremontowaną, lipińską kamienicę. To był zaledwie początek. Równocześnie miasto Świętochłowice sfinansowało remont elewacji zabytkowego budynku w Lipinach Południowych – ceglanej kamienicy, która zmieniła się nie do poznania. Wyznaczono do remontu także budynek przy ul. Św. Jana – rusztowania stanęły przy nim w lipcu 2021 roku. Prawdziwa sensacja na skalę całego miasta nadeszła jednak w maju 2021 roku. Inwestorzy odpowiedzialni za remont kamienicy „na rogu", rozpoczęli chyba najambitniejszy projekt w najnowszej historii Lipin – uratowania willi urzędniczej huty Guidotto. Willa od kilku lat stała smutna i opuszczona, z zawalonym dachem i zamurowanymi oknami. Strata „perły Lipin" jak mówi się o willi, byłaby ogromnym ciosem dla archite-ktonicznego dziedzictwa całego Górnego Śląska. Wielu spisało ją na straty, mówiąc, że jej los jest odbitym w krzywym zwierciadle wizerunkiem całych Lipin. Sytuacja się zmieniła, warszawscy inwestorzy planują stworzyć w willi nawet 100 nowych mieszkań, których większość ma być gotowa w przyszłym roku. Po remoncie, willa stanie się wizytówką nie tylko Lipin, ale i całych Świętochłowic, kto wie – może stanie się symbolem nowych, lepszych dla Lipin czasów? Na przyszłość nieśmiało planuje się remont lipińskiego kościoła parafialnego oraz odnowę kolejnych kamienic. Powodzenie tych działań zależy głównie od środków finansowych, jednak ambitne projekty, jakie już udało się zrealizować pozwalają z optymizmem spojrzeć w przyszłość Lipin.

Czyli jednak jest przyszłość na Lipinach? Czas pokaże...

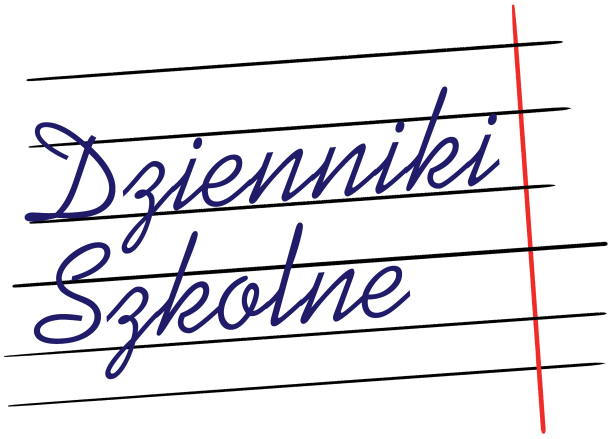

Wszystkie sytuacje oraz indywidua opisane w poniższych notatkach stanowią wytwór chorej wyobraźni piszącego i nie mają absolutnie nic wspólnego z rzeczywistością.
Autor nie odpowiada za żadne podobieństwa nasuwające się czytelnikowi, obniżone oceny zachowania, skreślenia z listy uczniów czy założenie policyjnej kartoteki.

Wreszcie! Nareszcie! Teraz! Tak jest! Wracamy do szkoły! Ta sąsiednia znów zaskakuje. Obiecawszy sztubakom podstawowym, że ni sprawdzianów, ni kartkówek, ni nawet odpytywania nie planuję, jeno rozrywkę czystą w postaci pieśni o tańcach Henryka Kościelnego, który unosi się i opada, dotknąć wybranki swej nie może, a jedynie ją powąchać, wchodzę do klasy... luksusowej jak na warunki polskie, bo z komputerami w liczbie sztuk: 2. No to się zaczęło... bo z jednego ustrojstwa mogę li tylko dźwięk odtwarzać, fonię. Z drugiego: obraz... Nie wypada na te luksusy narzekać, marudzić. Przepięcie kabli i ustawienie wszystkiego, jak być IMHO powinno, zajęło nieco ponad kwadrans. Czy inni połapią się w klawiaturze hiszpańskiej? Hm,hm,hm... oczekuję na odzew, jednocześnie konstatując, że panna z omawianej pieśni jest dla boskiego Enrique trochę jak Apap, tudzież Ibuprofen, bo łagodzi jego ból... Może i ja coś łyknę?

Mniemam, że COVID zmysł węchu mi uszkodził: za każdym razem, kiedy do budynku szkoły wchodzę, alkoholu zapach czuję.

Dyżur pełnię podczas przerwy międzylekcyjnej na szkolnym boisku w jednostce edukacyjnej niemacierzystej. Głównie uniknąć staram się latających wszędzie piłek, piłeczek, pił i innych przedmiotów niebezpiecznych. Jednocześnie nasłuchuję i przyglądam się grupie trzech młodzieńców w wieku lat dziewięciu każdy, z pojemnikami śniadaniowymi również każdy.

Wtem jeden z nich otwarłszy pudełko zdębiał, posiniał i chwilowo zaniemówił, aby na pytanie towarzyszy: co jest, odpowiedzieć nerwowo: K...rwa, nie mam słodyczka. Ni to liryka, ni epika, a dramat w czystej odmianie: jak to tak bez słodyczka śniadanie?

Warsztaty pisarskie w *Słowaku*

Pola Strzałkowska

1. Pięć słów na literę „K” - historyjka.

Czarny, smukły kot, nazwany przez swoją starszą opiekunkę Kamil, stał na krawędzi parapetu, nie odrywając wzroku od szumiących traw, bujających się na wietrze.

Jego syn, Mały Karol II, uciekinier – niebywały kompilator – pojawił się na wyczekiwanym horyzoncie.

Karol, nie zmieniając poważnego wyrazu pyszczka, podszedł do niego – kara młodego kota była jasna.

Słońce oblewające pole zachodem, już chowało się, co okazało, że Karol – odprowadzający syna do domu – dostanie dzisiaj podwójną porcję karmy.

Lubił mieć pełen brzuszek.
Następnym razem, Mały Karol II wróci wcześniej do domu.

2. W tekście zawarte są trzy konflikty: konflikt globalny, lokalny i moralny.

Słońce waliło mu w twarz
i powoli nabierał wrażenia, że wyprawa od początku była złym pomysłem – przystanął gdy napotkał na swojej drodze znak „stop”, który bijąc mu czerwienią w oczy próbował pogrążyć go do reszty.

Teodor miał już obrócić się na pięcie, wrócić do domu, siąść na kanapie i ogłosić całemu światu krótką drzemką, jego kapitulację – ale nie. Nie po to wylewał siódme poty przechodząc kilometry w upale, aby kupić głupie psie smakołyki dla psów, które jedyne co robiły na ich oddziale to obżerały się, leżały i nic nie wnosiły do sprawy.

Nie chciał ich – grubasy zdobywały medale a nikt nie spojrzał na niego.

Zacisnął zęby i z całej siły uderzył czerwony znak –
a co, kto mu zabroni? Przecież nie poda się w połowie drogi.

Kopnął znak jeszcze parę razy, dopóki nie poległ,
a huk rozebrzmiał po dzielnicy. Głupie psiska. Znak uległ, a on przeszedł dalej.

3. Tekst, którego zakończenie utrzyma czytelnika w napięciu.

Biegł ile sił w nogach.

Zostawił je same! A przecież niebezpieczeństwo było tak blisko – był pewien, że z każdą chwilą jeszcze bliższe. Za bliskie.

Skręcił ostro w uliczkę – ulewa przemoczyła go, zza zaparowanych oddechem okularów widział swój cel – jego własne mieszkanie.

- Błagam, niech Małgorzata i Zosia będą całe, błagam,

niech wszystko ty tylko pomyłka. – modlił się w myślach. Wpadł na klatkę schodową i zaczął wbiegać po schodach.

Morderca, kryminalista, którego szukał od swojej pierwszej sprawy detektywistycznej, jego zmora podążająca za nim jak cień, jego koszmar, miał się znaleźć tuż za ścianą, z jego żoną i córką – przeklął w myślach.

Drzwi były otwarte. Wbiegł do środka i podparł się ściany.
- Małgorzata...?

Anna Gwizdak

1.Pięć słów na literę „K" - historyjka.

Krowa Magdalena od rana miała problem. Na brzegu pastwiska stał człowiek i nieustannie się na nią gapił. Strasznie ją to stresowało, toteż pod wieczór ruszyła w jego kierunku, żeby sprawdzić, o co chodzi.

Człowiek okazał się kukłą. Była zbudowana z małych koralików w kolorze karmelu i białych kartek od góry do dołu zadrukowanych słowem „kwestionariusz" (Magdalena właściwie nie potrafiła czytać, ale zgadywała, że właśnie to jest tam napisane).

Trąciła kukłę pyskiem i wróciła na pastwisko, mucząc do siebie, że nigdy nie zrozumie ludzi.

2. W tekście zawarte są trzy konflikty: konflikt globalny, lokalny i moralny.

Teodor wracał do domu zmęczony i wściekły jak jeszcze nigdy. W sklepie spotkał swojego arcywroga, profesora K., co już zepsuło mu humor na następne trzy lata, a w dodatku zabrakło mu pieniędzy na hot doga.

Jakby tego było mało, po kilkunastu krokach poczuł, że z nieba pada dziwny, na wpół zamarzający deszcz, który po kilku minutach przerodził się w istną śnieżną zamieć. Teodor zamarzał, a do domu został mu jeszcze kwadrans.

W momencie, w którym nie odróżniał już góry od dołu i przodu od tyłu, wpadł na kogoś. Starł śnieg z oczu i zwyczajnie go zatkało: miał przed sobą profesora K.! Jego arcwyróg był w bardzo złym stanie i Teodor niestety wiedział, że ktoś musi mu pomóc i że tym kimś jest, szlag by to trafił, on sam.

Westchnął głęboko i oddał profesorowi swoją kurtkę, a potem zabrał go na posterunek na kubek ciepłej herbaty. Dodał do niej szczyptę soli, ale to był czysty przypadek.

3. Tekst, którego zakończenie utrzyma czytelnika w napięciu.

Teodor miał naprawdę dobry dzień, a to było coś absolutnie wyjątkowego. Z marszu rozwiązał kilka zaległych spraw, w tajemnicy obejrzał nowy odcinek ulubionego serialu i wreszcie kupił sobie wymarzonego hot doga. Dotarł do domu bardzo zadowolony z siebie i z życia w ogóle, ale gdy przestąpił próg mieszkania, zauważył coś dziwnego: na podłodze korytarza widniały błotne ślady stóp i laski. Teodor wiedziony przeczuciem i błotem skierował się do salonu i na widok osoby, która się tam znajdowała, natychmiast uniósł ręce w geście kapitulacji.

— Witaj, Teodorze — powiedział zimno profesor K. i odbezpieczył pistolet.

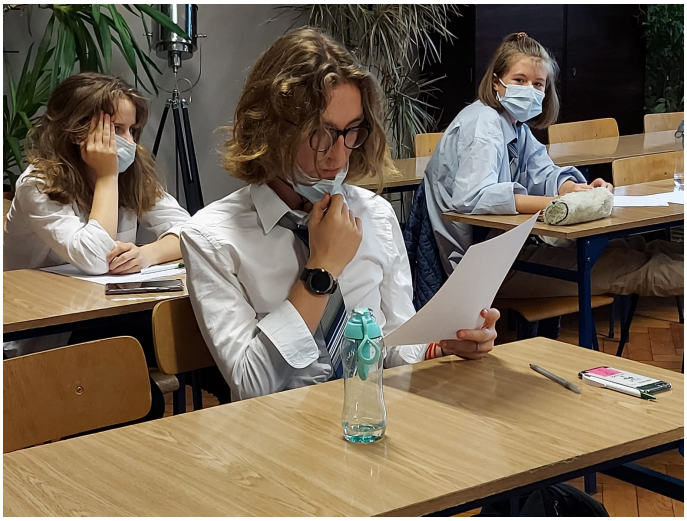

Śląskie Targi Książki - relacja

Espantajo

Stan czytelnictwa w Polsce, raport za rok 2020 wskazuje, że 58% obywateli 'niepodległej' nie sięgnęło po książkę ani razu. 18% rodaków przeczytało, przekartkowało lub choć zerknęło na moment do przynajmniej jednej książki. Zrazu przypomina się opowieść Wojtka Kuczoka i jego rozmowa z hydraulikiem, który "czasu na czytanie nie ma, bo jest zarobiony", czytają to tylko nieroby. Jednak autor "Wiecznego odpoczywania" przeżył osobliwą radość, gdy został obrabowany z całej torby książek. Nie wiem, czy wywołało to u niego dysonans poznawczy. Raczej radość to była z zaskoczeniem zmieszana. Coś jak na widok pełnej hali MCK w Katowicach podczas ostatnich Targów Książki. Tłumy niezliczone, sceny dwie i książki za pół darmo wyprzedają. Kolejki fanów literatury chcących słów kilka zamienić z autorem lubianym i o wpis z dedykacją poprosić. No nie powiem... Toć to szok! Sceny dwie, na scenach autorskie spotkania i dywagacje. Jakoś w głowie informacje te mniej istotne zostają, że Marek Krajewski najchętniej to golonkę zajada albo żeberka w sosie pomidorowym. Ulubiona jego książka? Zdziwi się sztubacka nacja, bo to "Lalka". A przepis na dobre pisanie (również szkolnych wypracowań)? To dobre czytanie. O mądrościach profesora Bralczyka wspominać nie trzeba. Sposobność na żywo słuchania wywodów jego mówi sama przez się.

W tym całym tłumie maniaków literatury jeszcze jedno dostrzec można: kto z czytaniem problemów nie ma, tego maseczka w mózg nie uwiera.

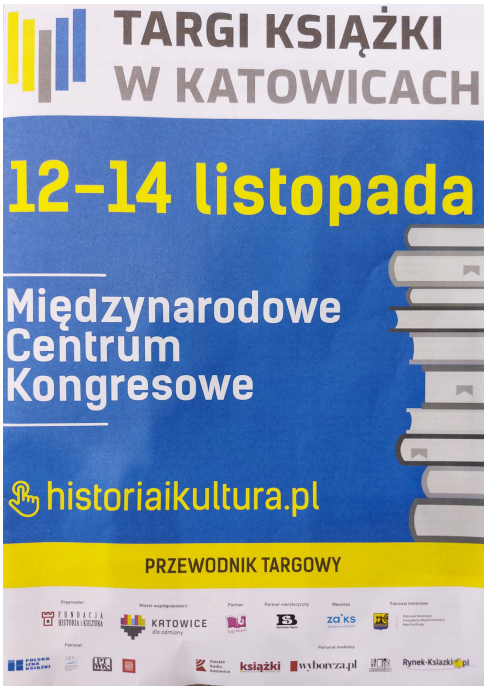

FOTOGRAFIA

Filip Hornik

PKP INTERCITY
PL-PKPIC 57512078661-2 B'nouz
160 PL